

NIEDZIELA

TYGODNIOWY DODATEK BEZPŁATNY

Nr. 50

Katowice, dnia 15-go grudnia

1929

W imię † Ojca i † Syna i † Ducha Świętego.
Amen.

Na większą cześć i chwałę Panu Bogu Wszchemogącemu w Trójcy świętej jedynemu, a nam na zbawienny dusz naszych pożytek, czyta Kościół Boży na

Niedziele trzecia Adwentu

LEKCJE

z listu św. Pawła do Filipensów, rozdz. 4, w. 4—7.

Bracia! Weselcie się zawsze w Panu: Powtóre mówię, weselcie się. Skromność wasza niech będzie wiadoma wszystkim ludziom. Pan bowiem blisko jest. Nie troszczcie się o nic; ale we wszelkiej modlitwie, i proście z dziękczynieniem, niech żądania wasze będą u Boga oznajmiane. A pokój Boży, który przewyższa wszelki zmysł, niechaj strzeże serc waszych, w Jezusie Chrystusie Panu naszym.

EWANGELJA

zapisana u św. Jana w rozdz. I w. 19—28.

W on czas wysłali Judejczycy z Jerozolimy kapłanów i lewitów do Jana z zapytaniem: Ktoś ty jest? A on wyznał i nie zaprzeczył, ale wyznał: Nie jestem ja Chrystusem. Zapytali go tedy: Cóż więc? Eljaszem ty jesteś? I odrzekł: Nie jestem. — Czy jesteś ty prorokiem? — I odpowiedział: Nie. Rzekli mu więc: Kimże jesteś? byśmy odpowiedź dać mogli tym, którzy nas wysłali; co mówisz sam o sobie? Jam głos — odrzekł — co woła na pustkowiu: „Droge prostujcie Panu“, jako mówił Izajasz prorok.

A wysłańcy należeli do grona faryzeuszów. To też postawili mu pytanie i rzekli doń: Dlaczego więc chrzczisz, jeśli nie jesteś ani Chrystusem, ani Eljaszem, ani prorokiem? Odpowiedział im Jan, mówiąc: Ja chrzczę wodą; ale wpośród was stanął Ten, którego wy nie znacie: Tenci jest, który przyjdzie po mnie, który istniał przede mną, a jam nie godzien rozwiązać rzemyka u sandałów Jego.

To działo się w Betanii, za Jordanem, gdzie Jan chrztu udzielał.

NAUKA.

„Kto Ty jesteś?“

Tak pytają faryzeusze św. Jana Chrzciciela. A ten największy wedle świadectwa samego Chrystusa, święty i ostatni prorok Starego Zakonu, oświadcza, że nie jest niczem więcej, jak pokornym sługą wielkiego Pana, któremu niegodzien jest rozwiązać rzemyka u sandałów Jego.

Przy innej sposobności, jak czytamy w ewangelii św. Jana, jeszcze głębiej wnika w tajemki, bóstwa Chrystusowego i odsłania je uczniom swoim. Przyszli bowiem do niego i rzekli mu:

— Rabbi (mistrz), który był z tobą za Jordanem, któremuś ty dał świadectwo, ten oto chrzci, a wszyscy idą do niego.

Odpowiedział Jan i rzekł:

— Nie może nic wziąć człowiek, jeśli mu nie było dane z nieba.

(Znaczy to: że wszyscy garną się do Pana Jezusa, jest to dane z nieba, taka jest wola Boża!)

— On ma rósć, a ja się umniejszać. Który z nieba przyszedł, jest nad wszystkimi. Albowiem którego Bóg posłał, słowa Boże powiada... Ojciec miłuje Syna i wszystko oddał w rękę Jego. Kto wierzy w Syna, ma żywot wieczny, a kto nie wierzy w Syna, nie ogląda żywota, ale gniew Boży nad nim zostawa (Jan 4, 25—36).

Zastanawiając się nad temi słowami, trzeba podziwiać głębokość objawienia, jakim go obdarzył Bóg. Lecz pamiętajmy, że swoich skarbów nie umieszcza Opatrzność inaczej, jak w sercach, odpowiednio przygotowanych. Św. Jana Chrzciciela wybrała ona z rodziny szczególnie pobożnej; jego narodzenie zapowiedział anioł; anioł wyznaczył mu imię i obwieścił, że doniosłe będzie jego posłannictwo. Bóg uświęcił go jeszcze w łonie matki, a przy narodzeniu jego dzieją się takie dziwy, iż szczęśliwi świadkowie tychże pytają zdumieni: „Czemże będzie to dziecko? (jeżeli już przy jego kołysce takie widzimy cuda.“)

Gdy w końcu Jan Chrzciciel w więzieniu ścięty z rozkazu Heroda, życie swe składa w ofierze dla Boga, musimy kornie schylić czoła i przyznać: „Między synami niewiast nie powstał większy nad Jana Chrzciciela“ (Mat. 11, 11).

W zestawieniu z takimi duchowymi olbrzymami, jakże maleje nasza zaśluga, nasza wartość, nasze o sobie pojęcie! Ilekroć pycha chciałaby zagnieździć się w naszych sercach, niech każdy porówna siebie z takim Janem Chrzcicielem i zapyta się: Ktoś ty jest?! Amen.

Do matusi . . .

Rok cały mocowała się Małgorzata z chorobą, która, jak przyszła ni stąd, ni zowąd, tak już opuścić nie chciała.

Małgorzata, dworskiego stróża Walentego żona, to była kobieta, jak rzadko. Jak wzięła centnar zboża, które na śpichrzu wydawał pisarz na ordynarję, to zawinęła workiem, nikiej chłop kłonicą i zarzuciła sobie na plecy, jak piórko.

Smagła była, gibka i mocna — mąż przy niej ginął, jako, że Walenty niebardzo się udał. Był niski, chuderlawy i utykał na nogę. Dlatego też, nie mogąc go użyć do innej roboty, wzięł go dziedzic na stróża. Walenty noce przesympiał dokumentnie w stajni, gdzie niby to pilnował, aby się konie nie pobily, a gdy fornale przyszli konie paść, szedł na poprawkę do domu. Potem wracał znów na podwórze, zaniósł żrebackom siano, urabiał i nanosił dREW do kucni dworskiej latem lodu z kopca do spiżarni i pokręcił się jeszcze za tem i owem. Ale nie nadwyręzał się zbytnio, gdyż należał do tych, o których mówił, że „rękawa sobie nie urwą . . . Niemaiej skarżył się nieraz swojej Małgosce, że w niego orzą, a pocziwa kobieta, która sama harała od świtu do no-

cy koło gospodarstwa, doglądając przytem jedynaczki Rózi, a jeszcze znalazła nieraz czas i na to, by w gorącej porze żniwnej lub w wykopki wyjść od południa na „pańskie“ — pożałowała nieraz męża, dla którego, jako dla słabszego, miała jakby macierzyńską tkliwość.

Aż oto skończyło się wszystko.

Pewnego dnia — było to we żniwa — Walentowa pobierała garście za kosiarzami i wiązała je w snopy, swoim zwyczajem nie dając się nikomu wyprzedzić, bo była nietylko robotna, ale i ambitna. Zgrzana, napła się wody z rowu, i zaraz tego samego dnia zaczęła na trząść zimnica.

Zdrowa zawsze, jak rydz, kobieta — nie zwracała na to z początku uwagi. Ale dreszcze nietylko nie rolgowały, ale roraz większe łamanie w kościach zbijało z nóg Małgorzatę, która nie mogła pojąć, że przy tak „marnej“ dolegliwości, jakoś coraz czuje się słabsza i coraz trudniej przychodzi jej dźwignąć kubek z wodą, narąbać drzew i oprząnąć gadzinę.

Udała się więc do dworu, gdzie zawsze na każdą chorobę miała dziedzicka odpowiednie leki, ale nie pomógł jej ani odwar z lipowego kwiatu z miodem, ani nawet proszki, tak zawsze skuteczne na zimnicę. Jechał któregoś dnia stanget do miasta po sprawunki — zabrała się więc z nim do doktora.

Opukał ją, zapisał lekarstwo. Nic nie pomogło.

Wreszcie tak Walentowa zesłabła, że już ani z łóżka zwlec się nie mogła. Jeździł do niej doktor kilka razy, ale napróżno. Małgorzata schła coraz więcej, dojadła żadnej nie miała ochoty, tylko ciągle paliło ją pragnienie. Kaszłała, aż dudniało w zapałej piersi.

Poczwę sąsiadki kołejką warzyły strawę Walentemu i dziecku, do ty krowę. Sam Walenty musiał teraz w izbie robić jaki taki porządek, krowę i wieprzka opatrzyć. Rózia, która kończyła już szósty roczek i nad wiek była rozwinięta, czem mogła, starała się posłużyć matce. To poprawiała jej pod głową poduszkę, to kubek wody zaczerpnęła z wiaderka, gdy chora speczonymi ustami pięć zawołała.

Aż nadszedł dzień, kiedy Walentowa nie prosiła już o nic. A gdy mała Rózia na paluszkach wspięła się do jej łóżka, by uściskać matkę, nie odpowiedziała ani słowem, ani tkliwym wejrzaniem.

Rózia nigdy jeszcze nieboszczyków nie widziała, to też gdy jej mówiono, że matka nie żyje — otwierała szeroko modre oczęta i biegła popatrzeć na zmarłą.

— Mama śpi — mówiła — jak się obudzi, to jej wody podam.

Nie mogła się wydziwić, że ten sen tak długo trwa i że matka nie obudziła się nawet wtedy, kiedy ją ubierano i włożono do czarnego pudła. Dziwiły ją ceremonie żałobne, płakała, gdy trumnę zamynkano i nie chciała pozwolić, aby jej mamusię wynoszono z izby. Musiała ją sąsiadka wziąć na ręce i gwałtem wynieść do siebie, gdzie starała się dziecko uspokoić i rozerwać.

Kiedy Walenty powrócił z pogrzebu, pytała go, co zrobił z matką, i słysząc, że ją zakopano w ziemi, zapowiedziała, że jak tylko urośnie i będzie morna, to matkę wykopie, i znowu będą razem.

Czas miał. Bez gospodyni w domu było trudno, sąsiadki coraz rzadziej zaglądały, i Walenty, choć ukradkiem, popłakiwał za żoną, rozumiał, że musi wziąć drugą, by miał go kto opać, uwarzyć jedzenie i zająć się dzieckiem.

Jeszcze Walentowa nie była zamknięta oczu, a już radziły kobiety we wsi, kto będzie jej następczynią; to

też swaiek nie zabrakło, a co która — to inną raita kandydatkę. Wreszcie najwymowniejsza tak potrafiła zachwalić wdowcowi swoją siostrę, niemłodą już dziewczynę, że Walenty ani się spostrzegł, kiedy dał na zapowędzi.

Magda nietylko nie była młoda, ale i nieładna, zato robotna, a w chłopskiej chacie pilne ręce, to bogacwo. Więc choć aż rozumiał, że nikt mu nie zastąpi nieboszczki, Walenty spodziewał się, że przynajmniej w domu będzie ład, a Rózia znajdzie w macosze drugą matkę.

I było tak z początku.

Magda starała się zjednać sobie Rózię, ale dziecko, rozżalone, że obca zajęła miejsce ukochanej matusi i w izbie gospodaruje od samego początku okazywało macosze niechęć i wyrывało jej się z rąk, gdy ta chciała je myć lub czesać. Dziewczynka całymi godzinami siedziała osowiała i gdy mogła uciekła z domu, sadala przy drodze i spoglądała w stronę, w którą wieszono ongiś nieboszczkę. Wreszcie, na ciągłe prośby zaprowadził ją raz Walenty na cmentarz, i odtąd Rózia biegła często na grób matki, i nieraz nie wracała tak długo, że ją ojciec do domu sprowadzać musiał.

Macocha widząc, że dziecko nie może się do niej przekonać, zniechęcona, nie starała się więcej o zdobycie małego serduszka, i żyły obok siebie obce, a nawet wrogie.

Nadeszła jesień — opadły liście z drzew. O tej porze ochodzi Kościół święto umarłych.

Od starszych dzieci słyszała Rózia, że w dzień Zarusny trzeba iść do kościoła i modlić się za zmarłych, a groby ich ubierać kwiatami i świeczkami. Dziewczynka nie miała co zanieść swojej matusi, ale postanowiła ją odwiedzić, pomimo, że z nastaniem z mnych i słonych dni, zakazał jej ojciec chodzić na cmentarz. Obmyśliła sobie, że tak cicho wymknie się z izby, iż nikt tej nie zauważy i z drogi nie zawróci.

Jednakże, gdy nadszedł dzień oczekiwany, neta two przysłało Rózi spełnić swoje postanowienie. Macocha była z nią ciągle razem, dała jej kartonle do obierania, i dziewczynka ruszyć się z domu nie mogła. — Dopiero po południu, kiedy ojciec wyszedł, a macocha również zajęła się pracą poza domem, Rózia z bijącym serduszkiem pobiegła w stronę cmentarza, odwiedzić matkę w ten dzień, w który podobno zmarli chodzą po ziemi i kręcą się niewidzialni pomiędzy ludźmi. Może i matka jej się pokaże — roła sobie — może zabierze ze sobą do neba.

Lekką chusteczką okryta, biegła Rózia w stronę cmentarza. Jak zazwyczaj w Zaduszki, dzień był pochmurny i dżdżysty, to też zanim doszła do celu, zapadł mrok. Znając dobrze miejsce, gdzie znajdował się grób matki, Rózia odnalazła go bez trudu. Znajdował się w samym narożniku cmentarza, ukryty nieco za krzewami, to też ludzie, odwiedzający w tym dniu cmentarz, nie zauważyli małej istotki, która, naśladując starszych, przykłękała na mogile.

Rózia odmówiła najpierw cały paciorek, którego jeszcze nauczyła ją matka, a potem zaczęła odgarniać liście, jakie grubym kobiercem zasłaly mogile. Tak się zajęła swoją pracą, że nie zauważyła, iż robi się coraz ciemniej i spadły pierwsze, ciężkie krople deszczu.

Niedługo deszcz rozpadał się na dobre. Dziewczynka drżała ze zimna i ogarnął ją strach, gdyż dopiero teraz spostrzegła, że umilkły głosy, które słyszała z dość bliska i że samiućka znajduje się na cmentarzu. Przejęta nagłym, nieodczuwanym dotąd

strachem, co sił starczyło w małych nóżkach, uciekać poczęła z cmentarza.

Deszcz lał coraz gwałtowniej, ciemnica zrobiła się taka, że dziecko nie widziało już drogi. Potykało się co chwila, raz nawet wpadło do rowu, ale na szczęście był suchy i dziewczynka prędko się z niego wygrabiła. Lecz przytem do reszty straciła orientację kierunku, siły zaczęły ją opuszczać i szła coraz wolniej, aż padła na ziemię rzewnie płacząc i wzywając pomocy zmarłej matki.

Tymczasem w domu Magda nieprędko skończyła robotę i dopiero wtedy spostrzegła, że Rózi niema. Zrazu myślała, że dziewczynka poszła do jednej ze sąsiadek, które były zawsze łaskawe na sierotę, jednakże czas mijał, a Rózi nie było. Poszła pytać na wsi, ale nikt dziecka nie widział.

Kiedy Walenty wrócił do domu, zaniepokojona macocha sama wysłała męża na poszukiwanie dziewczynki. Stróż spotkał kogoś, kto widział Rózię idącą w stronę cmentarza i natychmiast pospieszył w tym kierunku, zabierając ze sobą latarkę oraz jednego z psów podwórzowych, gdyż liczył więcej na węch zwierzęcia, niżeli na własne oczy.

Istotnie niedaleko od cmentarza Burek, który zboczył na pole, zaczął nagłe szczekać, a potem skomlać przypadł do ziemi. Świecąc sobie latarką, Walenty co tchu pobiegł w tę stronę i ujrzał na ziemi skuloną, małą postać.

Rózia zmęczona chodzeniem i płaczem i przemoknięta do nitki, leżała teraz cichutko, nie dając znaku życia. Ojciec wziął ją w ramiona, otulił swoją burką i poniósł czempredziej do domu. Ułożono dziewczynkę w łóżku, rozgrzewano zziębłe nóżki butelkami z gorącą wodą i za poradą sąsiadek, które zaalarmowane zbiegły się do chaty, wiano dziecku do ust nieco gorzałki. Będaciu zakrzusiło się tak, że o mało nie wyzionęło ducha.

W nocy przyszła gwałtowna gorączka. Rózia mąjażyła i ciągle wzdrygała, że matusia przyszła po nią i stoi przy łóżeczku. Zrywała się, aby iść z nią, to znów biadała, że matusie zasypali ziemią, a ona jest za słaba, aby ją odkopać...

A po dniach kilku życzenie Rózi spełniło się. Była znów razem z matusią.

Mały obrońca Ojczyzny.

Cała wieś zbiegła się przed chatą wójta. Gospodarze, kobiety i dzieci stali w milczeniu i przyglądali się małemu oddziałowi żołnierzy. Dziwny to był żołnierz. Same dzieciuchy. Najstarszy, stojący przed pierwszym szeregiem mógł mieć najwyżej osiemnaście lat. Oficer prowadzący oddziałek, wszedł na naradę z wójtem do chaty, węc chłopcy stali oparci o ciężkie karabiny lub siedzieli gwarząc cichymi głosami i paląc. Od czasu do czasu któryś z żołnierzy podniósł głowę, nadśluchiwał i mówił, oglądając się na sąsiadów: — Znowu pękł...

Rzeczywiście jakiś głuchy huk dobiewał z daleka i odbijał się od ścian wieśniaczych chat. Gdzieś niedaleko szalała bitwa. Jej ggiek nie dochodził do

KUPON 50.

ważny do ubiegania się o nagrodę za dobre rozwiązanie zagadek.

Imię i nazwisko
Miejsce zamieszkania
Ulica nr.

wsi i tylko ten przytłumiony odległością, huk pękających pocisków mówił groźnym głosem o tem, co się działo tam, za czerniejącym na horyzoncie lasem i piaszczystymi pagórkami.

Trochę na uboczu od szeregów, siedział na kamieniu żołnierz. Miał z pewnością niecałe piętnaście lat. Ubrany w wytartą kurtkę i zupełnie wyszarżale buty dźwił jednak wieśniaków swoim wyglądem.

Zdjął właśnie but z lewej nogi i zaczął rozwiązać jakieś szmaty. Wkrótce otaczający go tłum zobaczył obnażoną nogę, aż do kolana, a na łydce dużą ranę, jeszcze nie załóżoną, nawet broczącą krwią.

— Co to? — zapytał trzynas oletni, barczysty Władek, syn wójta, pochylając się nad siedzącym żołnierzem.

— Rana — odparł, nie podnosząc głowy i zabierając się do bandażowania.

— Rana? — powtórzył Władek, czując, jak coś lechtało go zaczęło pod sercem.

— Pod Lwowem, w boju ją otrzymałem... Jakiś ukraiński zdraca strzelił... — spokojnie mówił, naciągając but, żołnierz.

— Boli... to? — padło z ust wielkiego chłopaka ciche pytanie.

— A no — boli... — odpowiedział żołnierz, wstając i mocniej operując się na ranionej nodze.

Usadł znowu. Władek przyglądał się żołnierzowi. Na chłopięcej twarzy wojaka była głęboka powaga, a w jasnych oczach odwaga i zapał niczem nie pohamowane. Inni też spoglądali na tę twarz.

— Co to woźna z ludzi robi! — mruknęła jakaś kobieta i pociągnęła swego chłopca za sukmanę oczami wskazując na poważną twarz dzieciaka w mundurze żołnierskim. — Chłopczyzna mały, a patrz no go, jaki sierzysty.

Władek nie słyszał tych słów gdyż stał zapałzonym, jak w tęczę, w jasne, światłe oczy bohatera z pod Lwowa. Wreszcie znowu pochylł się do niego i wyszepał:

— Ja — Władek! Mój ojciec — wójtem tu.

— Aha — odpowiedział żołnierz, — ja też — Władek, mój ojciec urzędnik...

— Czy dawno na wojnie?

— Już osiem miesięcy...

— Że też was puścili ojciec i matus! — podnosząc ramiona, zawołał Władek.

— Co prawda, nie pytałem o pozwolenie! — — uśmiechając się, odpowiedział żołnierz. — Czmychaliśmy do wojska z piątej klasy gmnazjum...

— Pewno rodzice płakali, bo to uczonym mogłoby być, a tu woźna... zabić mogają... — z westchnieniem szepnął Władek.

— Może — odparł żołnierz. — A może i nie.

— Jako — nie?

— Rzecz prosta! — zawołał tamtem. — Powiedz mi: czy twój ojciec i ty sam będziecie pocić się na roli, którą wam jutro bolszewicy zabiorą.

— Pies by tam pocił się — zawołał Władek.

— Właśnie dlatego i ja ze szkół uciekłem, — ze śmiechem rzekł żołnierz. — „Pies by tam pocił się“ nad łaciną, algebrą, historją, jeżeli jutro, być może Polski naszej nie będzie. Najpierw zdobędziemy ją, a później już — rola, nauka i wszystko inne.

W tej chwili z chaty wyszedł oficer. Trzymał w ręku mapę i słuchając wójta, coś na niej kreślił ołówkiem.

— Więc tu powiadacie, gospodarzu bagno? — spytał oficer, pokazując coś na mapie.

— Proszę pana oficera, — głębokie, zdradliwe bagno! Trzeba baczyć, bo ino krok na lewo i — bie-

da. Głębokie psia jego wiara, to bagno. A gdy go się przejdzie, krzaki pójdą i będziecie akuratnie na tyłach wroga...

— Tak... tak — mówi oficer — więc tu bagno... tu ścieżka, a tu — już krzaki?...

Żołnierze tymczasem stanęli w szyku. Oficer już zwłinał mapę i schował ją do wiszącej na pasie żółtej torebki skórzanej, gdy do stojącego w pierwszym rzędzie na prawo żołnierza, podsunął się Władek — syn wójta.

— Słuchajta, — szepnął — ojciec rozpowiadał wazszemu oficerowi o drodze przez bagno... Kto nie był tam, nie przejdzie... Zaraz wymknę się za wieś i tam na zakręcie będę czekał na was. Poprowadzę... ja znam to bagno.

W parę godzin później oddziałek rozciągnięty jak wąż, sunął przez gęsty las wąską ścieżką wijącą się przez bagno. Na czele szedł Władek, — syn wójta, kluczył, jak zajac, wśród krzaków i kosmatych kęp, bładych mchów i liszajów drzew, a prowadził dalej i dalej.

— Już! — zawołał nakoniec chłopak. — Teraz będzie widnia a dalej — krzaki, aż hen! — do rzeki.

Oddziałek zatrzymał się na ciwilowy odpoczynek na skraju suchej wydmy. Oficer zawołał do siebie Władka i wyciągnął do niego rękę z pieniędzmi.

Chłopak potrząsnął głową i rzekł ponurym głosem:

— Ja nie dla pieniędzy prowadziłem...

— A dla czego? — spytał oficer uderzony wyrazem twarzy i głosem chłopca.

— Dlatego, żeby pan oficer przyjął mnie do wojska i pozwolił stać obok tamtego... żołnierza — odparł Władek, wskazując palcem na swego imiennika.

— Co ci, chłopaku, do łba strzeliło? — zawołał oficer. — Co ojciec na to powie, matka?...

— Nic nie powiedzą, bom uciekł. Chcę najpierw Polskę zdobyć, a później pocić się na roli...

Stał wyprostowany, a gdyby mógł sam siebie w tej chwili ujrzeć, zdziwiłby się bardzo, zauważwszy powagę i zapał, bijące mu z twarzy, jak temu żołnierzowi, co to chodzi o nodze poranionej i nic sobie z tego nie robi...

Oficer jednak dojrzał znane mu ślady duszy budzącej się w pękniem porywie, objął chłopaka i zawołał zwracając się do żołnierza.

— Władysław Grzymalski!

Władek, syn urzędnika, bohatera z pod Lwowa, wyszedł z szeregu.

— We ług rozkazu, panie poruczniku!

— Weźmiesz w naukę tego chłopaka, a gdy tabor nadciągnie, dasz mu ubranie, karabin, ładownicę.

— Rozkaz!

Władek, syn wójta, był jednym z orląt, porwanych potężnym zewem Ojczyzny, która z popiołów, zgłiszcz i niewoli powstawać zaczynała, wymarżona i piękna, choć stroskana, nieśmiertelna i potężna, choć umęczona, a umiłowana nad życie.

Złote myśli.

Pociecha koi srodze dotknięte serce, dobra rada budzi w n'iem nowe nadzieje; dopiero czyn daje je dno i drugie; ukojenie i nadzieję.

Nie zawsze zdolnym jesteś do wyższych myśli, lecz za to niskich myśli możesz się wystrzegać.

Przestroga, dana z dobrocią więcej zdziałać może, niż wyrzuty pełne gorczy.

I tak minął Neron, jak mija wichur, burza, pożar, wojna lub mór, a bazylika Piotra panuje dotąd z wyżyn watykańskich miastu i światu.

Sienkiewicz „Quo vadis“.

DLA ROZRYWKI

Nr. 121. Skok konika z zagadką.

| | | | | | | | |
|------|-------|-------|----------|------|-------|------|-----|
| ga | i | giem | | | ro | roś | ca |
| woj | ne. | sro | Nr. 121. | | ob | gro | śli |
| wa | z wro | nę | Króć | dzie | na | nam | nie |
| | że | zbroj | Zagadka | | w o | nie | |
| | lecz | kie | i | ki | z „p“ | w | |
| tak | po | szy | mię | ło | lu | na | to |
| nych | i | wy | mi | przo | z | znów | po |
| przy | na | | | | | dzie | „g“ |

W niniejszej figurze jest ukryta zagadka, którą odszukać trzeba skokiem konika. Po odnalezieniu zagadki i rozwiązaniu jej narysować taką samą figurę i pociągnąć kreski w ten sposób jak sylaby wskazywały. Przepisać zagadkę w rodzaju zwrotki i nadesłać wraz z wypełnionym kuponem, najpóźniej do 21 grudnia.

Nr. 122. Łamigłówka sylabowa.

ul. Julian Wilk.

Z następujących sylab: an, ar, ba, bur, cy, en, fał, go, hoń, her, i, ja, kla, ka, ma, ma, maj, men, no, ra, ra, ra, ta, wa, zy; ułożyć 10 wyrazów, aby początkowe litery dały imię i nazwisko słynnego profesora współczesnego w województwie krakowskim, autor broszurki teatralnej „Trzeci maj“.

Znaczenie wyrazów: 1. Wyspa w środkowej Ameryce. 2. Stolica Turcji. 3. Mieszkanie w ziemi czworonożnych zwierząt. 4. Drzewo cenne do wyrobu mebli. 5. Owoc uprawiany na większą skalę na Ukrainie. 6. Drzewo z rodziny wierzbowatych. 7. Roślina doniczkowa. 8. Napój. 9. Pobudka do przeprowadzenia fermentacji. 10. Imię męskie.

Rozwiązania zagadek z nr. 48.

Nr. 117. Krzyżówka.

Poziomo: 1. Cal. 3. Paka. 6. Toga. 9. Amor. 11 a. Gama. 12. Lasy. 14. Atak. 16. Zet. 18. Ar. 19. Teba. 21. Rzym. 23. Kwot. 25. Fryc. 27. II. 29. Bal. 30. Noty. 32. Aula. 34. Obar. 36. Bobr. 38. Lisy. 40. Kwas. 42. Ada. 44. Er. 45. Woal. 47. Tonn. 49. Iwan. 51. Apus. 53. I O. 55. Osa. 56. Kolo. 58. Plec. 60. Wron. 62. Skał. 64. Hart. 65. Akta. 66. Ult. Pionowo: 1. Cela. 2. Las. 3. Po. 4. Arab. 5. Aga. 7. Oazy. 8. Akt. 10. Myto. 11 b. Akry. 13. Arka. 15. Taft. 17. Emf. 20. Etna. 22. Bacz. 24. Włos. 26. Ryba. 28. Lapa. 29. Bale. 31. Orka. 33. Uran. 35. Bywa. 37. Ostu. 39. Iris. 41. Wiał. 43. Dnie. 46. Okno. 48. Ospa. 50. Wawr. 52. Post. 54. Ocet. 55. Och. 57. Ona. 59. Ilu. 61. RT. 63. Ka.

Nr. 118. Szarada.

Na - rowy — narowy.

Dobre rozwiązanie zagadki nr. 117 i 118: Paweł Płonka, Antoni Siwiec, Józef Pająk.

Rozwiązania nr. 117 nadesłali: Franciszek Mitrega, Henryk Komor, Józef Cofalka, Ludwik Jęczmyk (gdzie figura?), Karol Pudlik, Helena Szoltysek, Piotr Tomasiak, Józef Ślodeczyk, Henryk Czekała, Urban Stawinoga.

Nagrody otrzymują: Józef Pająk, Antoni Siwiec, Paweł Płonka.